

Stefan Żeromski

## Dzienniki

(fragmenty)

### KILKA WSPOMNIEŃ Z LAT MEGO DZIECIŃSTWA

Urodziłem się dnia 14 października 1864 roku we wsi Strawczyn z rodziców Wincentego i Józefy z Katerłów. Rodzice moi dzierżawili wówczas wieś Strawczyn o kilkanaście wiorst od Kielc oddaloną. Wieś tę dzierżawili do czasu powstania, tj. do roku 1863, gdyż od tego czasu ojciec zaczął szukać innej dzierżawy z powodu znacznych strat majątkowych. Po przemieszkaniu w Strawczynie około roku rodzice przenieśli się do wsi Wola Kopcowa także w bliskości Kielc położonej. Po przebyciu tutaj lat trzech, straciwszy więcej jeszcze na tym majątku, przeniesiono się do wsi Krajna – a stąd do obecnie jeszcze zamieszkiwanych przez ojca – Ciekot.

Co wspominać o latach mego dzieciństwa? Czyż nie byłem, jak wszystkie dzieci, krzykaczem naprzód małym, potem urwisem dokuczającym wszystkim, którego znać na każdym miejscu – o nie... od czasu, jak przyszedłem do tego wieku, że oddano mię do szkół, byłem zawsze samotnym i ponurym. Lubiłem zawsze i zawsze samotność. Sam się sobie dziwię nieraz, jak mogłem [...] obyć się zupełnie bez towarzystwa nie tylko rówieśników, ale nawet w ogóle ludzi. [...]

Oddano mię w końcu do gimnazjum do klasy wstępnej. Stałem na stacji u ciotki mej, p. Saskiej. [...] Jak ja zawsze lubiłem książki!... to ma jedyna zabawa od dzieciństwa. Dostałem promocją do klasy pierwszej. Tu uwiązłem: łacina i matematyka wzięły mnie silnie za bary i zasadziły powtórnie na ławy klasy pierwszej. Drugi rok był szczęśliwszy: byłem trzecim uczniem w klasie. [...]

Po promocji do klasy trzeciej przyjeżdżam na wakacje. Och! bolesne, bolesne wspomnienia pozostały na całe życie z tych dwu miesięcy: matka od czternastu lat słaba na piersi, zapadła już zupełnie – od sześciu miesięcy nie wstawała z łóżka – były to suchoty. Wakacje zbliżały się do końca i przyszedł dzień 15 sierpnia [...]. Matka umarła!... [...]

A ja... a ojciec, mój biedny, ukochany ojciec i dwie siostry zostaliśmy sami, sami nad mogiłą ukochanego naszego anioła... Młodszą siostrę wzięła do siebie ciotka, starsza wróciła do domu, a ja do gimnazjum. [...]

Przyjechałem do gimnazjum; profesorem języka polskiego był wówczas Antoni Gustaw Bem. Od pierwszej lekcji jego, od przeczytania przez niego *Maratonu* Ujejskiego inna epoka, inna era zaczyna się w życiu moim. Odtąd to zacząłem rachować godziny między jedną a drugą jego lekcją, odtąd ulubionym przedmiotem był mój ukochany język rodzinny. I przeszedł rok, dostałem promocją do klasy czwartej, przepędziłem wakacje z ukochanym tatkiem moim i p. Karpińskim, sąsiadem, przepędziłem z dubeltówką na ramieniu – o, bo szalenie pokochałem polowanie! Gdzie ja nie byłem z tą flintą ojcowską, ile razy przemierzyłem w najrozmaitszych kierunkach przyległe wiosce mej lasy... [...]

Przeszedłem do klasy piątej. Porzuciłem wszystko, opuściłem się zupełnie w naukach, gdym usłyszał płody nieśmiertelnych mistrzów naszych, deklamowane przez ukochanego profesora. Cały

poświęciłem się tym dwu tygodniowo godzinom, wyczekiwałem ich Bóg wie z jaką niecierpliwością – i cóż powiedzieć o tym, czym było każde słowo dla mnie, wyrzeczone przez p. Bema?! On był moim ideałem – wyrocznią. Z własnej woli podałem mu raz kajet mych lichych wierszydeł... Przeczytał je, zganił częstochowszczyznę, ale powiedział, że znać uczucie w wierszyku pt. *Do rolników*. Jakże mię ucieszyły te słowa, słowa pochwały z ust tego, który sądził twory nieśmiertelnych mistrzów naszych...  
[...]

D n i a 12 c z e r w c a. [...] Nigdy nie lubiłem matematyki. Od klasy wstępnej była ona przedmiotem najuciążliwszym dla mnie. Tym bardziej więc w tym roku, w roku zajmowania się jedynie moim ulubionym językiem, zapomniałem o matematyce zupełnie – i przysłała też kryśka na Matyska... Trzeba było w przeciągu całych wakacyj wyrzec się zupełnie swobody umysłu, bo przeszkodą temu była zawsze myśl o formułach geometrii, które jak hydra straszliwa wychylały się spoza wszystkich zabaw wakacyj.

D n i a 30 l i p c a. Z panią Karpińską i pp. Gronkowskimi udaliśmy się do kościoła św. Katarzyny, a następnie piechotą na szczyt Łysicy. Powracając stamtąd, przy źródle św. Franciszka spotykam samotną cudną mą nieznaną z klasztoru św. Katarzyny. Zapłoniona ucieka w las, a ja z moim towarzystwem ku domowi. Wymyślam pretekst podpisania się w samotnie stojącej w lesie kapliczce i uciekam, by raz choć jeszcze zobaczyć ją. Widziałem... I odtąd na próżno spacerowałem z mą flintą, robiąc na ten cel kilkuwiorstowe spacerki pod murami klasztoru – ale na próżno... Nie sądzono mi było obaczyć jej po raz drugi... Raz tylko w życiu... raz!

24 l i s t o p a d a. Ha! Głaskają nas moskiewscy bracia! Dziś na przykład wchodzi p. Bem na lekcję polskiego i ogłasza postanowienie kuratora: [...] Profesor zaś ma opowiadać uczniom po rosyjsku treść dzieł autorów polskich. Profesor mówić powinien po rosyjsku na lekcji koniecznie. Główną część ma stanowić tłumaczenie – a podrzędną tylko literatura. Nędznicy, szelmy! [...]

1 g r u d n i a. Polski. Cośmy sobie nakpili z dyrektora gimnazjum, p. Woronkowa! Wczoraj przyszedł on na język polski. Wchodzi do klasy, rzuca futro swoje na katedrę, przed nos p. Bemowi; potem pyta się uczniów, czego się uczą z polskiego, i każe pokazać kajeta, w których mamy pisać literaturę po rosyjsku. Żaden z nas nie ma nic po rosyjsku – wszyscy po polsku. Rozwścieczony rzuca się do p. Bema i zaczyna mu wymyślać, że źle uczy, że on poda go do dymisji itd. Oto przyjemności profesora języka polskiego!